The Beginning

Zaczęłosię niedawno. Pierwszy raz przybyli tu chyba, zaledwie kilka tygodni temu. Szukali schronienia i pożywienia,tak przynajmniej twierdzili. Jałowe pustkowia były wrogie dla wszystkich, którzy wśród nich żyli. Zgodnie więc z naszym zwyczajem przyjęliśmy ich, tak jak innych wędrowców. Nie mieliśmy może nadwyżek pokarmu, ale z tego co mawiali liczni przybysze i tak mieliśmy go więcej niż inne osiedla. Może to stało się przyczyną późniejszych wydarzeń, możliwe, że było to po prostu przeznaczenie, przynoszące odmianę spokojnemu losowi.

Faktem jest jednak to że po kilku dniach pobytu, zabrali się do działania. Ich uzbrojenie nie było nowoczesne, jedynie przygotowane. W ciągu kilku minut zabili wszystkich czterech strażników osady. Nóż w plecy wystarczał by uśmiercić nic nie podejrzewającego człowieka, nawet jeśli spędził on wiele lat na walce z wszędobylskimi geckonami.

Nikt z nas nie usiłował walczyć. Gdy wszystko wyszło na jaw, rabusie ochoczo przetrząsali już zapasy nie zwracając uwagi na żadne konsekwencje. Nie odeszli jednak z zrabowanym pożywieniem tak jak sądzili starsi. Odszedł tylko jeden z nich, przygotowawszy uprzednio zapas na kilka dni marszu. Sam nawet pomagałem mu związać pasek u torby, mając nadzieję, że przyspieszę tym nadejście spokoju. Cóż dobry i jeden mniej pomyślałem, lecz przekonałem się o swej naiwności.

Minęło kilka następnych wschodów słońca. Przybysze poświecili je na ufortyfikowanie jednego z budynków. Nikt nie miał pewności jaki mieli w tym cel. Jedno było tylko pewne, nie miało to wróżyć niczego dobrego. A przekonaliśmy się o tym już wieczorem gdy na horyzoncie ukazały się tumany kurzu, którym wtórowały liczne i równie dzikie okrzyki. Zanim ktokolwiek przedstawił jakiś racjonalny pomysł pierwszy z trzech pojazdów znajdował się już w mieście. Gdy przyjrzałem się bliżej za kierownicą dostrzegłem nie kogo innego, jak pożegnanego niedawno rabusia.

Kilka następnych dni sprowadziło na nas rozpacz. Najeźdźcy chcieli posiąść wszystko, nasze pożywienie, narzędzia i kobiety. Dopiero to ostatnie zrodziło pierwsze walki. Walki mężne lecz beznadziejne w skutkach. Nikt z nas nie miał broni, a czym był kij wobec automatu. Ci, którzy mogli ukrywali się wraz z bliskimi w podziemnych korytarzach, pod swymi domami. Tutaj tylko przybysze bali się zaglądać. Kilku nawet zginęło, gdy przez pomyłkę natrafili na gniazdo skorpionów. Nikt nie mógł się stamtąd ruszać, by nie sprowadzić za sobą nieszczęścia.

Tunele były długie oraz skomplikowane i to właśnie było naszą szansą. Szansą, którą nieomal zaprzepaściłem. Lecz co mogłem zrobić gdy Shani była jeszcze tam, na powierzchni. Poszła do nich dobrowolnie. Wiedziała, że gdybym zobaczył ich ciągnących ją do siebie siłą, rzucił bym

się na nich nie mając nawet kamienia w rękach. Zrobiła to dla mnie i dla innych dając im czas na ucieczkę pod ziemię.

Wiele wysiłku kosztowało mnie oczekiwanie. Te kilka godzin do zmroku, które zmarnowałem, by nie wydać wyjścia z podziemi. Poświęciłem je jednak na przygotowanie się. Gdyż tylko myśli o walce z nimi, powstrzymywały moją rozpacz od krzyku. Mimo wszystko ostatnie promienie słońca znikały już gdy wyłem na powierzchni.

Budynek z którego słyszałem krzyki był mi dobrze znany. Mieszkałem w nim przez tyle lat, a teraz służył on tym zbirom za przybytek rozkoszy. Przed drzwiami, które zawsze kojarzyły mi się ze spokojem i Shani, stała teraz kolejka uśmiechniętych i zawszonych rabusiów. Wtórującym swym chichotem każdemu wrzaskowi, wydobywającemu się ze środka.

Tylko wiatr, tylko chłód i wściekłość towarzyszyły mi gdy skradałem się do tylnego wejścia. Nie miałem szans by pokonać ich wszystkich. A nie chciałem ginąć, przynajmniej gdy była jeszcze szansa na to, że ona żyje. Miałem w głowie plan układany, w pośpiechu przez czas gdy się skradałem. Był prosty, wbiec, przyłożyć mu nóż do szyi by zyskać tym czas na jej ucieczkę, ja nie byłem ważny tylko ona, jej życie. Wpadłem do środka z resztkami opanowania. Opanowania które stopniało jak pozostawione wśród eksplozji. Jeden z typów właśnie podnosił się, znad trzęsącej się w konwulsjach kobiety. Ostrze błyskawicznie znalazło się na swoim miejscu blokując najmniejszy choćby jego ruch, dając mi czas na zastanowienie. Okrutny czas. Zaraz przy nogach umierającej kobiety, leżała Shani. Piękna jak zawsze gdy witała mnie swym uśmiechem, jednak martwa. Przez całą długość jej uda biegł głęboki ślad cięcia. Tylko tyle zdążyłem zobaczyć, zanim zasłoniło ją wypadające z mych rąk, rozerwane nożem ciało.

Chciałem zginąć, tylko to mi pozostawało. Jednak gdy wypadłem głównymi drzwiami, moim oczom ukazała się walka. Kilku moich przyjaciół ruszyło za mną, by mi pomóc. Nie wiedzieli ze nie mają o co walczyć. Biedny Yoe nie zdążył się nawet dowiedzieć, że jego żona również nie żyje, nim padł od kuli wystrzelonej z Desert Eagle'a. Choć w pewnym stopniu zazdrościłem mu nawet, z zazdrością tą rzuciłem się na najbliższego z najeźdźców. Walka nie trwała długo, lecz przeżyłem ją, w przeciwieństwie do większości moich przyjaciół. O ironio, zginęli głównie ci, którzy pozostawili rodziny bezpieczne w podziemiach, samemu wspierając jedynie takich jak ja czy Yoe.

Nie chciałem by wchodzili do środka, o nie. Swym męstwem zasłużyli na coś więcej niż rozpacz która czekała by ich w środku. Wycofaliśmy się więc biegiem, zabierając pośpiesznie rannych dla których była nadzieja, reszcie pozostawiając tylko broń. Z chwilą gdy ostatni z nas znikał w podziemiach dobiegły nas strzały z Desert Eagel'a, od którego zginął Yoe, a który teraz pozwalał godnie odejść rannym, pozostałym na powierzchni.

Pozostaliśmy w tunelach do rana, żałując że nie podjęliśmy walki z pozostałymi rabusiami. W końcu co nam pozostawało. Nie mogliśmy siedzieć pod ziemią wiecznie. Moglibyśmy tak żyć jedynie przez kilka dni. Moglibyśmy, lecz nie taka była wola przeznaczenia. Nie wiem

dokładnie co się stało, może jeden z naszych wypuścił się na powierzchnię, a może jedynie przez przypadek, lecz znaleźli główną komorę pod ziemią. Znaleźli ją właśnie wtedy gdy zamierzałem do niej powrócić.

Ruszyliśmy co sił na dźwięk pierwszych strzałów. W biegu minęliśmy kilku naszych, próbujących wydostać się z rzezi. Tylko my mieliśmy broń, a nas tam nie było. Pierwszą rzeczą, jaka rzuciła mi się w oczy był spokój. Pod ziemię zeszło najwyżej kilku najeźdźców. Teraz stał tam już tylko jeden. Nie strzelał, otoczony przez tych którzy nie zdołali uciec. Krzyczał, że nie zmarnuje ostatniego pocisku i zabije tego kto pierwszy na niego ruszy. Obok leżał jego towarzysz cały zalany krwią, mimo iż martwy nadal zaciskał rękę na spuście. Kolejny wrzask był bardziej paniczny. Nie mógł już długo tak stać, lecz na pewno nie poddał by się. Nie dostał więc takiej okazji. Kule z mojego automatu rzuciły go na ścianę, nim zdążył skończyć.

Teraz mogliśmy tylko czekać. Czekać aż zejdą tu pozostali, przygotowani i rządni odwetu. Nie wiedziałem ilu pozostało na górze, nie chciałem wiedzieć. Przygotowaliśmy się więc na najgorsze i czekaliśmy. Minęło tylko kilka godzin, w końcu nastał wieczór i dzień następny.

Zbudziła mnie eksplozja, której echem były liczne strzały. Jednak wszystko gdzieś tam, na powierzchni. Tu była cisza, potęgowana jeszcze przez zdziwienie, kryjące się na twarzach tych, którzy mnie otaczali. Zgiełk trwał zaledwie kilka minut, cichnąc z wolna, by wreszcie zakończyć się wraz z potężnym wstrząsem.

Niewielu było chętnych by sprawdzić co się stał. Ja byłem jednym z nich, nie mogłem przecież stracić już nic więcej, jedynie zyskać spokój. Ruszyłem bez broni, tą zostawiłem na dole by nie osłabiać obrony. Zapomniałem nawet o nożu. Ten jednak stał się niepotrzebny gdy tylko wyjrzałem na powierzchnię. Stały tam dwa potężne pojazdy opancerzone, a wokół nich biegała grupka, równie mocno zakutych w stal, wojowników. Wyglądali jakby przeszukiwali płonące szczątki, tak długo umacnianego przez rabusiów budynku.

Gdy tylko usłyszałem za sobą kroki odwróciłem się spokojnie. Ponad dwumetrowe coś stało wpatrzone we mnie. Nie widziałem nawet człowieka, zamkniętego wewnątrz tego urządzenia. Czułem jedynie, że tam w środku blaszanej skorupy, kryje się osoba. Spuściłem wzrok, czując że tak powinienem zrobić. Jednak gdy postać przemówiła, przesunąłem wzrok z wolna ku górze.

- Nie musicie się już obawiać Raidersów. - metaliczny odgłos był silny, lecz spokojny. Mój wzrok zatrzymał się na chwilę. Pierś jego przyozdobiona była znakiem miecza przechodzącego przez trzy zębatki zamknięte w okręgu.

- Nas nie musicie się bać - ciągnął dalej - Nie jesteście nam nic winni. A jedyna rzecz jaką moglibyśmy od was przyjąć to kilku ochotników. - Głos był coraz bardziej przekonywujący. Lecz nadal nie wiedziałem co mógłbym odpowiedzieć.

- Jeżeli oczywiście ktoś będzie zainteresowany. Służba u nas nie jest przecież zajęciem dla wszystkich.- Roześmiał się cicho, lecz nie drwił. Usiłował jedynie wyrwać się z ponurej atmosfery tego zniszczonego miasta.

- Sądzę, że kogoś tu na pewno znajdziecie. Spokojne życie nie jest przecież dla tych, którzy raz już stracili wszystko.

- Nawet nie zauważyłem kiedy zdjął hełm. Zobaczyłem tylko jego łagodny uśmiech i wyciągniętą rękę.

- Witaj w Bractwie Stali ... kadecie.

Dragon_Warrior 2003-06-22